

tem Teodorem, siedział w swym pokoju, patrzył na deszcz, na przemokłe drzewa ogrodu, ziewał i nudził się okropnie. Z niezbyt licznej i zaniedbanej biblioteki brata Teodora, w której myszy gospodowały samowładnie, przyniósł sobie obszarpany romans pani Radcliffe, p. t. „Puszcza, czyli opactwo Saint-Claire” i rozczytywał się w nim, zrazu dość niechętnie, ale powoli, zainteresowany romantycznymi a zarazem dramatycznymi przygodami bohaterki romansu i tajemniczymi skrytkami opuszczonego opactwa, zagłębił się w nim, zapomniał o rzeczywistości w X. o głupstwie ludzkim, o deszczu i nudach, a tylko czytał i czytał.

We dworze panowała cisza. Anielka siedziała przy chorym Antku, który miał się lepiej i doktor wczoraj zapewnił, że wyjdzie z tej choroby, z czego uszczęśliwiona i spokojniejsza, usiadła w wielkim fotelu i drzemała. Pani Magdalena Schmid modliła się jak zawsze i kajała za dawne grzechy, a Stanisław chodził po wielkiej sali z kąta w kąt i myślał i łamał się ze sobą, i cucił coś przedsięwziąć i porzucił te zamiary, nowy Hamlet polski, zabarwiony pesymizmem, który jak rdza przeżerał mu nerwy i wolę.

A jednak było o czym myśleć, bo już wczoraj wieczorem doszła do Gór wiadomość, że znaczna siła wojskowa, złożona z piechoty, jazdy i paru armat zbliża się do X. i w sąsiednim, o dwie mile oddalonem miasteczku, stanęła. Że stryjasek Józef, zaczytany w przygodach romantycznej bohaterki, zapomniał o tem, nie było nic dziwnego. W swem życiu, spędzonym od wczesnej młodości w zapadłym kącie powiatu ihumeńskiego, bardzo mało czytał, ile, że nie było tam co czytać, więc teraz dostawszy do rąk książkę, która opisanymi awanturami młodej i oczywiście pięknej panny, zajęła go mocno, nic więc dziwnego, że zapomniał o tem, co się dookoła niego działo i dziać mogło. Nie było też nic dziwnego, że o tych rzeczach nie myślała Anielka, dla której cały świat zamykał się w pokoju Antka; nie myślała też i jej matka, zajęta jedynie sprawą zbawienia swej grzesznej duszy.

Ale Stanisław, który był panem domu, powinien był o tem myśleć, ile że otrzymał najszczegółowsze wiadomości o gotujących się wypadkach. Jednakże i on zapomniał o wszystkim, bo napadł go właśnie paroksyzm zniechęcenia, a przytem gadał sobie:

— Co mnie to może obchodzić i w czem cała ta sprawa może mnie dotyczyć. W niczem nie brałem udziału, a zresztą, co ja poradzę? Niech się robi, co chce!

Chodził więc po sali z kąta w kąt, wujasek Józef rozczytywał się namiętnie w romansie pani Radcliffe, Anielka drzemała w pokoju Antka, pani Magdalena modliła się do Matki Bożej o miłosierdzie nad jej grzeszną duszą, i cisza była w starym dworze w Górach, że słychać było brzęczenie każdej muchy i monotonny plusk kropel deszczu, spadających z liści wielkiej lipy pod oknami.

Wprawdzie od czasu do czasu dawał się słyszeć głuchy huk, jakby oddalonych strzałów, ale że następowały znaczne przerwy zupełnej ciszy, nikt we dworze nie zwracał na to uwagi i nie myślał o zbądaniu przyczyny tego podejrzanego huku.

Dopiero, gdy ten huk stawał się coraz częstszy i coraz wyraźniejszy, Stanisław przestał chodzić po sali, nadstawił uszu i podszedł do okna mówiąc sobie:

— Co to? zdaje mi się, że strzelają.

Ale z okna nic nie było widać. Okolica cała była zamglona od deszczu, który acz nie padał teraz, ale zmoczona ziemia parowała i wszystkie przedmioty pokrywała biała, nieprzejrzana płachta. A przytem drzewa rosnące koło drogi, prowadzącej do dworu, zasłaniały zupełnie dalszy widok.

Huk jednak wzmagał się ciągle i co gorsza widocznie zbliżał się ku Góróm. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że strzelano. Co prawda strzały te nie były zbyt gęste, padały pojedynczo, ale grzmiały ciągle, a zatem nie polowano, jak zrazu myślał Stanisław. Widocznie coś niedobrego się działo w pobliżu dworu.

Jeszcze Stanisław stał przy oknie i rozmyślał, co ma czynić, czy wyjść i zobaczyć co się to dzieje, czy też zostać w domu, bo ostatecznie, co to mogło go obchodzić, że tam ktoś na jego gruntach strzela. gdy nagle spostrzegł Orczykiewicza, biegnącego co miał sił do dworu. Stary był z gołą głową, wymachiwał rękami, ogładał się trwożliwie i w ciężkich swych butach stawał tak głośno, że słychać było jego kroki w sali.

Stanisław wyszedł zatem do sieni, by się dowiedzieć, czego chce Orczykiewicz, i gdy spojrzął na twarz starego owczarza, odrazu się przekonał, że stało się coś nadzwyczajnego. Orczykiewicz bowiem miał włosy rozwichrzone, maleńkie oczy błyszczały mu wyrazem trwogi śmiertelnej, a pierś wzburzona nie mogła uchwycić powietrza i nie pozwoliła mu na razie wyrzec słowa.

— Co się stało? — spytał gorączkowo Stanisław.

Upłynęło kilka chwil, które wydawały się Stanisławowi wiekiem, taki go ogarnął niepokój wobec coraz silniej buczących strzałów, nim Orczykiewicz odzyskał mowę.

— Biją się! — syknął nakoniec, padając na pół omdlały na ławę.

— Kto się bije? — pytał Stanisław.

— A ci z X. z wojskiem... harmaty... kozaki... piechota. O laboga! laboga!

Zatoczył się na ławie, jakby się chciał położyć i chwycił się oburącz za głowę. Stanisław, wobec tej starczej bezsilności i trwogi, odzyskał odrazu zimną krew i rzekł:

— Czego Orczykiewicz jęczy? więc cóż, że się biją? Niech się biją, co to nas obchodzi?

Ale Orczykiewicz na te słowa zerwał się z ławy i zawołał:

— Co wielmożny pan gada, oni tu idą...

— Jakto tu idą?

— A tu, do dworu. Chcieli uciec do lasu, ale im kozaki zaskoczyli i gnają ich tutaj, do dworu.

Huczące rozgłosnie teraz strzały, a nawet jakaś zabłąkana kula, która ze świstem i trzaskiem zadudniła po dachu, przekonała odrazu Stanisława, że Orczykiewicz ma rację, i że bezpośrednie niebezpieczeństwo zagraża dworowi i osobom, w nim znajdującym się, boć przecie w gorączce walki nikt nie jest w stanie rozróżnić winnego od niewinnego.

Orczykiewicz padł raczej niż usiadł znowu na ławie, jęcząc swoje o laboga! laboga! i od tego przerażonego starca nic więcej dowiedzieć się nie można było, więc Stanisław chcąc się naocześnie przekonać, jak się w istocie rzeczy mają, wyszedł na ganek, a stąd na dziedziniec dworski. Nie było tu już bardzo bezpiecznie, bo kule z głuchym świstem poczęły przelatywać, strącać liście z drzew, zaorywać się w piasek ścieżki. Mimo to Stanisław poszedł dalej i stanawszy przy ogrodzeniu dziedzińca, skąd obszerny roztaczał się widok na drogę do X. i pola, w tej chwili pokryte dojrzewającym już zbożem, zobaczył zdumiewające zaiste i niezwykle widowisko. Garstka młodzieńców, licząca może kilkunastu ludzi, ubranych z miejską w kurtki i kaszkiety, z wyglądu należąca do klasy robotniczej, cofała się wolno przed naciskającym je wojskiem, dając nieustanne strzały z rewolwerów i karabinków. Nie mogąc dostać się do lasu, do którego pierwotnie widocznie dążyli, bo im drogę do niego zabiegło kilkudziesięciu Kozaków, weszli na gościniec prowadzący do Gór, i tu korzystając z rozłożystych drzew, tworzących piękną aleję, oraz z bujnie wyrosłego żyta, heroicznie i zacięty stawiali opór. Kule szły gęsto, zwłaszcza ze strony pięćkroć co najmniej liczniejszego wojska, młodzieńcy zaś strzelali rzadko, ale celnie. Z tem wszystkim otaczani i ścieśniani coraz bardziej, ustępowali powoli kroku i widoczną było rzeczą, że ostatecznie ich schronieniem będzie stary dwór w Górach, do którego wyraźnie dążyli.

Obaczwszy to wszystko Stanisław, gdy mu kule coraz gęściej gwiżdżały koło uszu, gdy rozległ się brzęk tłuczonych przez nie szyb w oknach dworu, zawrócił i w sieni spotkał się ze stryjaskiem Józefem. Stryjasek Józef był ciągle ubrany w swój turecki szlafrok i fez z pięknym kutasem na głowie, ale miał minę groźną i w rękę trzymał dubeltówkę, która od czasu zapowiedzianego napadu bandytów, stale wisiała w jego pokoju.

— Co to się serce dzieje? — spytał Stanisława — czy znowu bandyty?

— Nie stryjasku, to bojówka rzeczypospolitej walczy z wojskiem. Za chwilę tu będą i nasz dom stanie się areną tej walki.

— Taż serdenko na to pozwolić nie można — zawołał stryjasek — jakże to? taż tu są kobiety, chory Antek.

Stanisław uśmiechnął się smutnie i wskazując ręką na wpadających na dziedziniec młodzieńców i odstrzeliwujących się ciągle, rzekł:

— Spróbuj stryjasku nie pozwolić. Akuratnie oni się będą o to pytali.

To rzekłszy najspokojniej otworzył drzwi do

sali, przeszedł przez nią i zatrzymał się w swoim pokoju, na pół jeszcze zrujnowanym po ostatnim napadzie Jasińskiego i bezpieczniejszym od pokoi frontowych, bo wychodzącym na ogród. Wszedłszy, usiadł na fotelu i szepnął:

— Otóż i koniec komedyi. Śmierć idzie, straszna śmierć, nieunikniona, nieublagana śmierć. Pytanie, po kiego licha ja się rodziłem? Czy nie lepiej, nie stokroć rozumniej by było, żebym wcale nie istniał? I na cóż się przyda moja inteligencja? czy powstrzyma głupią kulę lub bagniet rozwścieczonego żołnierza? O niedo ludzka! o okrutne prawo przyrodzenia!

Zagłębił się w fotel, twarz rękami zakrył i zaczął się wsłuchiwać w grzmiący huk strzałów, we wrzawę napełniającą nagle cichy dotąd dwór wiejski. Po dachu dudniały pociski, jakby grad na niego spadał, szyby z trzaskiem pękały, rozlegały się krzyki, przesuwanie mebli, pojedyncze wyrazy i nawoływania, przekleństwa, nieokreślona wrzawa zaciętego boju.

Jak długo to wszystko trwało, Stanisław nie wiedział i nigdy potem zdać sobie z tego sprawy nie mógł. Siedział nieruchomy, na pół skamieniały, zdecydowany na śmierć, która mu się nieuniknioną wydawała. Wpadł przytem w rodzaj półsnu i zupełnego zobojętnienia, z którego wyrwało go nagle otwarcie drzwi i do pokoju wpadło dwóch rewolucjonistów z dymiącymi karabinami w rękach, złani krwią, czarni od prochu. Jednym rzutem oka objęli pokój i zobaczywszy okno, otworzyli je i wyskoczyli do ogrodu, gdzie niebawem w gąszczu zginęli.

Wszystko to stało się tak nagle, że nim Stanisław zdołał się podnieść z fotelu, już obu zbrojnych nie było. Ucieczka ich jednak nagła, trwożliwa świadczyła, że wojsko nakoniec wzięło górę.

Jakoż tak było. Pomimo upartej obrony rewolucjonistów, wojsko wdarło się do środka dworu, a mianowicie do sieni, w której wujasek Józef, uniesiony zgola niepotrzebnym animuszem wojennym, nie pytając, kto tu ma słusność, począł ze swej dubeltówki strzelać do wojska. Padł też jeden z pierwszych ofiarą tego boju. Skluty bagnietami, choć walecznie zastawiał się do ostatka dubeltówką, runął na podłogę, a ostatniem jego słowem był wiersz poety:

Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!

Niestety! nie mógł tej Litwie przynieść tego mniemanego zbawienia, o którym marzył i zginął za sprawę, którą uważał za głupstwo. Tak to los igraszkę sobie robi z ludzi i ich pragnień.

Padła też ofiarą tej szalonej walki Anielka i jej ukochany Antek. Nigdy nie można było dokładnie się dowiedzieć, jaki dramat rozegrał się w pokoju nieszczęśliwego Antka. Jeden tylko z oficerów wspominał, że gdyby Anielka nie była przyjęła wystrzałami z rewolweru wkraczających do tego pokoju żołnierzy, toby krwawej tej katastrofy nie było.

Teraz leżała w swej ciemnej sukni na ziemi, krwią zlaną, dzierząc w jednej ręce wystrzelony ze wszystkich naboju rewolwer, drugą wyciągając za siebie, jakby chciała zasłonić leżącego poza nią w białiznie, z głową owiazaną, Antka. Oboje byli już trupami...

* * *

Z tej strasznej, krwawej katastrofy, której rozgłos szeroko rozszedł się po kraju, wyszedł cało Stanisław, pani Magdalena Schmid i Orczykiewicz, który na samym początku schował się w sieni za wielki, starożytny kredens, gdzie oczywiście nikt go szukać nie myślał. Do ustronnego pokoju pani Magdaleny nikt nie zajrzał nawet, a Stanisław ukazał się dopiero wtedy, kiedy już walka ustała.

Cichy, stary dwór w Górach przedstawiał okropny obraz zniszczenia. Tu i owdzie po pokojach leżały trupy nieszczęśliwych młodzieńców, ofiar niezniszczonych nadziei. Gdyby stryjasek Józef był żył, byłby zapewne mówił, że z tej mgławicy, wstrząsanej tak szalonymi dreszczami burz wewnętrznych, nie prędko jeszcze utworzy się odrębne, samoistne ciało i nie prędko potoczy się w nieskończoną mroczną przyszłość...

KONIEC.

Radom-Policzna, maj—wrzesień 1911 r.